



Marcus Sedgwick, „Pocałunek śmierci”

Fragment

Siedział na galeryjce biegnącej nad wielką izbą gospody. Był to dobry punkt obserwacyjny, ale po raz pierwszy podczas podróży Markowi doskwierała samotność. Co gorsza, w jego sercu zaczęło kiełkować zwątpienie. Czego on tu szuka, na miłość boską?! Nie znajdzie ojca w tym ogromnym, gwarnym, rojnym mieście. Nie zna nawet jego przyjaciela, pana Belliniego, wytwórcy szkła, który przysłał list ojca opatrzony swoim dopiskiem. Chłopak uświadomił sobie nagle, że może go nie odszukać w tym tłumie. Dobrze chociaż, że trafił do właściwej gospody Leon Bianco, czyli Białego Lwa.

Kapitan odprowadził go aż tutaj. Chyba mu współczuł. Podszedł do Marka w porcie, gdy marynarze wyładowywali towary. Podrapał się po głowie.

- Leon Bianco, tak? - Zerknął na swoich ludzi. - Zaczekaj chwilę.

Pół godziny później, pośród zapadającej nocy, Marko i kapitan weszli na pokład długiej czarnej łodzi, wąskiej i wygiętej jak skrawek obciętego paznokcia. Każdy z podróżnych wcisnął monetę w szorstką dłoń przewoźnika.

Łódź wypłynęła z portu. Siedziało w niej poza nimi trzech pasażerów. Jeden z nich, wysoki mężczyzna w czarnej pelerynie, miał na twarzy białą maskę. Może ukrywał szpecące ślady po ospie lub bliznę po ranie odniesionej w pojedynku. Kapitan nie przestawał mówić. Znużony chłopak nie słuchał. Patrzył na przewoźnika stojącego na zabudowanej rufie, przy wiosle tkwiącym w ozdobnej dulce. Łódź wypłynęła na otwartą wodę.

Kapitan pochwycił jego spojrzenie.

- To gondolier - wyjaśnił. - A ta łódź nazywa się gondola. Zauważyłeś pewnie, że ma tylko jedno wiosło. A więc czemu nie kręcimy się w kółko? Chłopak wzruszył ramionami, a potem uważniej przyjrzał się gondoli.

- Nie jest prosta. Ma kształt...

- ...banana! - dokończył kapitan z cichym śmiechem. - Wiesz chyba, co to banan, prawda? - dodał po chwili.

Marko pokręcił głową.

- To owoc. Jest żółty i ma kształt gondoli.

Kapitan wydawał się tak zadowolony, że aż zamilkł, niestety nie na długo. Wkrótce znowu zaczął perorować. Wcześniej nie był tak rozmowny. Marko zrozumiał, że stary marynarz cieszy się z powrotu do Wenecji.

Jeszcze parę ruchów wiosła i dotarli do ujścia. Rzeka zdawała się wdzierać w sam środek miasta. Dokoła widział setki rozkołysanych maleńkich gondoli, parę nieco większych łodzi z dwoma gondolierami, a także wielkie statki dorównujące rozmiarami karawelom. Sunęły po wodzie, jakby kierowała nimi ogromna niewidzialna ręka.

Wszędzie widać było ludzi - w łódkach, oknach i bramach. Coś jednak wydało się Markowi niepokojące.

- A gdzie ulice?

- Właśnie płyniemy największą z nich - objaśnił kapitan.

- Co? Ta rzeka to droga?

- Nie rzeka. Canal Grande.

- Sztuczny kanał?

- Całe to miasto jest sztucznym tworem. Ponoć wzniesiono je ponad tysiąc lat temu na trzęsawiskach. Gdy nadciągnęli Mongołowie, którzy zaczęli grabić i mordować ludność żyjącą na wybrzeżu, rybacy uciekli na trzęsawiska i zbudowali chatki na palach. Zostali w tym miejscu na zawsze. Patrz! Nadal tu są! Kapitan wskazał strzeliste domy. Najwyższe miały pięć pięter.

- Postawili te domy na błotnistych wzniesieniach, a potem zmienili kurs płynących do laguny rzek, żeby wymywały muł. Woda stała się głębsza. A teraz spójrz na nich! Rybacy? Najbogatsi na świecie! Marko skinął głową.

- Wciąż wydaje mi się, że śnię. To miasto nie może istnieć naprawdę. Czy ono wcale nie ma ulic?

- Ma, ale bardzo wąskie. Widzisz przed sobą archipelag maleńkich wysepek połączonych mostami. Na każdej znajdują się uliczki, jak wszędzie, ale nieduże, bo większość stałego ładu zabrały palazzi - domy. Marko znowu pograżył się we własnych myślach. Ale kapitan jakby tego nie dostrzegął.

- Oczywiście zwykle nie zatrzymujemy się w Białym Lwie. Tam jest dla nas za drogo. Przeważnie zadowalamy się małym albergo, zajazdem w porcie. Ale rejs był udany, więc gdy powiedziałeś, że wybierasz się do Leon Bianco, pomyślałem: czemu nie? Zaslugujesz na to. A moi marynarze zasługują, żeby ode mnie odpocząć. I perorował dalej, aż gondola zatrzymała się przed drzwiami gospody. Obaj mężczyźni stanęli na drewnianym podeście, z którego trafili w środek gwaru. Niemal natychmiast Marko został sam w tłumie ludzi. Kapitan spotkał jakąś kobietę, z którą najwyraźniej łączyła go dawna zażyłość. Zanim zniknęli razem na pięterku, ze schodów dobiegł jeszcze jego głos:

- Dlaczego nie, powiedziałem sobie. Zaslugujesz na to!

Dziewczyna przemknęła obok, niosąc nad głową tacę z kielichami i dzbanek. Marko zrobił krok do tyłu, aby się z nią nie zderzyć, zawadził o czyjaś stopę i runął na wznak. Na chwilę zaparło mu dech. Spojrzał na twarz osoby, o której nogę się potknął. Bardzo wysoki i stary mężczyzna w czarnej opończy, o zupełnie białych włosach i twarzy pobrużdżonej głębokimi zmarszczkami, podał mu rękę. Z niespodziewaną siłą podniósł go z ziemi.

- Uważaj, jak upadasz - odezwał się cicho.

Były to dziwne słowa, w dodatku wypowiedziane z obcym akcentem, który przypomniał Markowi mowę matki, pochodzącej z gór na wschodzie. Potem mężczyzna gdzieś zniknął, a chłopak postanowił nie robić z siebie dłużej widowiska. Znalazł stolik na galerii, z dala od tłumu, i usiadł nad winem, które przyniosła mu dziewczyna - a właściwie kobieta dwa razy starsza od niego.

- Lepiej tego pilnuj - powiedziała, gdy wysupływał monetę z sakiewki na szyi. Zerknął na nią i przekonał się, że nie ma złych zamiarów. Posłała mu łagodny uśmiech.

- Nie pokazuj całemu światu tego woreczka, chyba że już ci się znudził. Ukryj go pod ubraniem.

Marko jęknął w duchu, kładąc monetę na jej dłoni. Pierwszy wieczór w mieście i już się zachowuje jak prowincjusz, a nie wypadł przecież sroce spod ogona. Zresztą to miasto nie może bardzo się różnić od Triestu.

Obserwował bywalców Leon Bianco. Izbę na parterze wypełniały stoły, przy których piło się, jadło i ubijało interesy. Nawet o tak późnej porze pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Zaskoczyło go coś jeszcze. Sądził, że człowiek z gondoli ukrywa jakąś ułomność, ale chyba nie, bo co trzeci gość tawerny zasłaniał twarz maską. Ojciec mu kiedyś opowiadał, że w Wenecji szalała dzuma. Spytny, czy dlatego opuścił miasto, pokręcił głową i zmienił temat. Czy wszyscy ci ludzie padli ofiarą zarazy?

Zauważył, że wielu z nich odsłaniało twarze, by jeść, pić lub rozmawiać. Przyjrzał się wchodzącym i wychodzącym – jedni zdejmowali maski, inni je zakładali.

Wszystko tu cuchnęło intrygą, przemocą, rozwiązłością i brudnymi pieniędzmi. Jak mógł wyglądać zajazd kapitana, skoro to miejsce uchodziło za wytworne?

Goście zaczęli udawać się na piętro do swoich pokojów i chłopak, zahipnotyzowany falującym nieprzerwanie tłumem, poczuł nagle, że jest zmęczony.

Powieki zaczęły mu ciążyć, głowa opadła na stół. Zapadł w sen.

Obudziły go śmiechy i krzyki. Wyjrzał przez balustradę i ujrzał grupę mężczyzn, którzy kogoś popychali, śmiejąc się i szydząc. Po chwili dostrzegł postać między nimi. Ten człowiek był najwyraźniej pijany, zataczał się, młócił pięściami na oślep. Coś bełkotał. Jeden z napastników ściągnął mu kaptur z głowy, a wtedy Marko z zaskoczeniem ujrzał starca, na którego niedawno wpadł. Jego wcześniejszy tchnący siłą spokój zniknął jednak bez śladu. Śmiech dręczycieli stawał się coraz głośniejszy, a gdy starzec uderzył kogoś pięścią – raczej przypadkiem niż umyślnie – goście zaczęli obrzucać go wyzwiskami.

Chłopak rozejrzał się dokoła. Współczuł staremu człowiekowi, ale przecież nie powinien się wtrącać. Nie mógł sobie pozwolić na nieostrożność. Nagle zauważył, że mężczyzna stojący przy barze pochyła się do dziewczyny w czerni i wskazuje go palcem.

Marko czuł się nieswojo, jakby jeszcze nie całkiem oprzytomniał po krótkiej drzemce. Wstał i ruszył między stolikami galerii. Hałas stawał się coraz głośniejszy i wtem dobiegły go głosy dwóch młodzieńców.

– Co powiedział?

– To, co zawsze. Okropnie kaleczy nasz język, ale ciągle coś wykrzykuje o wampirach. Wampiry w Wenecji!

Wybuchnęli śmiechem, a Marko przyspieszył kroku. Za późno. Dziewczyna z baru stanęła na szczycie schodów, zagradzając mu drogę.

– Kim jesteś? – spytała.

Nie była już dzieckiem, lecz jeszcze nie kobietą. Miała na sobie kosztowny strój – czarną jedwabną suknię z długimi rękawami i taką samą pelerynę. Jej głowę zasłaniał kaptur, ale Marko dostrzegł pod nim czarne, splecione kunsztownie włosy.

– Nikim – mruknął. – Właśnie wychodzę.

Odepchnął ją, nie dbając o to, że weźmie go za gbura, i zbiegł po stopniach.

– Znasz Alessandra Foscariego? – zawołała za nim.

Stanął jak wryty. A potem powoli wrócił na górę.

Wrzawa na dole stała się donośniejsza. Słysząc też było wrzaski z ulicy.

– Znasz Alessandra Foscariego? – powtórzyła dziewczyna. – Odpowiedz! Lepiej nie czekać, aż przyjdzie policja. Aresztuje wszystkich, którzy wyglądają podejrzanie.

Jej niechętnie spojrzenie świadczyło, że nie ma o nim najlepszego mniemania.

– Tak – powiedział. – Znam Alessandra. To mój ojciec.

(...)

Więcej www.nk.com.pl